



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Walka tygrysa z orangutaniem.

## TYGRYS I ORANGUTANG.

Dzisiejsza rycina nasza przedstawia walkę między krwiożerczym tygrysem, a łagodnym z natury, ale groźnym we własnej obronie orangutangem. Ojczyzną pierwszego jest Azja, głównie Indyje Wschodnie, Bengal, półwysep Malaka, wyspy Sumatra, Jawa; czy to jednak z powodu upodobania w dalszych wycieczkach, czy z potrzeby szukania w odleglejszych stronach ofiar na pożywienie swoje, tygrysa spotykać można na wielkich obszarach łąd azjatyckiego, między morzem kaspijskim i rzeką Amur. Przy dużej muskularnej sile, zwierzę to obdarzone zwinnością i gibkością kota, zdolne jest do nagłych i dalekich skoków. Myśliwi, polując na niego, zwykli obierać stanowisko na wysokich gałęziach drzew; napędzany pod nie tygrys, czasami jakby instynktem odgaduje zamiary strzelca i zwraca się na czyniących naganek ludzi, którzy śmiałość swoją nieraz wtedy ciężko okupująć muszą. Najczęściej zwierzę kryjąc się wśród zarośli bambusowych, stamtąd zdobycz swoją upatruje; krzyk gromadnie trzymających się papug i małp zwykły tylko zdradzać obecność groźnego wroga. Tygrys drapieżny i odważny, pokonywa o wiele większe od siebie zwierzęta. W Indyach urządzają na niego polowanie na słońcach, sposób ten bowiem zabezpiecza w części strzelca od napaści drapieżnego zwierza, którego słoń, w razie gdy na niego skoczy, zrzuca z siebie i tratuje nogami, biada jednak jeśli w czasie walki słoń rzuci się na ziemię, wtedy bowiem jednocześnie myśliwca i tygrysa ciężarem swoim na śmierć przygniata.

Orangutang powierzchownością najwięcej do człowieka zbliżony, porosły jest rudo-brunatną sierścią, a włos długi na policzkach szarej jego twarzy, tworzy jakby faworyty i brodę. Łapy przednie ma bardzo długie, do kostek nóg sięgające. Orangutangi przebywają głównie na wyspach Sundzkich w wielkich lasach, przeskakują z wielką zręcznością z drzewa na drzewo, chwytając się łapami gałęzi, po ziemi zaś chodzą z trudnością, mając palce u nóg zgięte. Żyją samotnie i nie są skłonne do zaczepiania innych zwierząt, ale napadnięte bronią się odważnie, jak widzimy na dołączonej rycinie. Do Europy młode tylko, najwyżej trzyletnie orangutangi sprowadzane być mogą, łagodne te zwierzęta łatwo się oswiają a nawet przywiązują do człowieka, nie są w stanie jednak długo znieść chłodnego naszej części świata klimatu i padają wkrótce ofiarą choroby płucnej.

## 0 ELEKTRYCZNOŚCI.

Wspominaliśmy już w Wieczorach o lampach elektrycznych, obecnie mamy zamiar opowiedzieć, w jaki sposób wytwarzamy elektryczność. Jest to siła nie od dzisiaj znana. Starożytni Grecy zauważyli już jeden jej objaw: że bursztyn tarty mocno aż do rozgrzania przyciąga do siebie lekkie ciała: strzępki, kawalki słomy lub siana i t. d. Nazwa „elektryczność” pochodzi nawet od greckiego słowa *elektron*, co znaczy bursztyn.

Przez całe dziesięć wieków po tem odkryciu, nie jednak więcej o elektryczności nie wiedziano, aż w XVI wieku Gilbert doktor nadworny królowej Anglii, Elżbiety, zauważył, że kilka ciał posiada przy potarciu przyciągające własności bursztynu. Od tej chwili datuje się początek nauki o elektryczności. W dwa wieki później, bo w XVIII wieku uważano znów, że istnieją jakoby dwie odmiany elektryczności, które jednak powstają zawsze jednocześnie to jest, że jeśli wytwarzamy jedną i drugą ukazać się musi. Elektryczność wytwarzano wtedy za pomocą tarcia; były do tego specjalne przyrządy: krążek ze szkła i krążek ze stwardnia-

łej żywicy opatrzone rączkami, jeśli pocierano je silnie sukniem a potem przysuwano je do siebie, wtedy nie działały przyciągająco na żaden lekki przedmiot, chociaż każdy krążek osobno wzięty posiadał tę siłę.

Było to odkrycie bardzo ważne, zasadnicze w tej gałęzi wiedzy, gdyż doprowadziło do wniosku, że przy pocieraniu niektórych ciał, jedna odmiana elektryczności ukazuje się na jednym krążku dajmy na to szklanym, druga na drugim krążku żywicznym i każda z nich z osobna, objawia się przyciąganiem ciał lekkich, lecz razem wzięte nie mają żadnego na nie wpływu. Elektryczna siła objawia się nam wtedy, gdy jakimkolwiek sposobem rozdzielamy dwie jej odmiany, zdawałoby się, że ta siła pragnie zawsze być w równowadze, wtedy jej objawy nikną nam z oczu, nie idzie jednak zatem, by sama siła zniknęła. Bynajmniej — jest ona tylko utajoną, ukrytą, lecz zawsze istnieje. Dwie odmiany elektryczności, a raczej dwie składowe części elektryczności ochrzczono nazwami ujemnej i dodatniej.

Nie wszystkie ciała jednakowo zachowują się w obec elektryczności. Jedne ją przepuszczają z wielką łatwością, inne znów ją zatrzymują nie pozwalając dalej się rozchodzić. Pierwsze nazywamy dobremi przewodnikami, drugie złymi. Wszystkie metale, granit, woda, ludzie, zwierzęta są dobrymi przewodnikami; suche powietrze, szkło, żywica, jedwab, wełna, porcelana, kreda źle przewodzą elektryczność. Wiele znów ciał nazywamy półprzewodnikami, ponieważ częściowo ją przez siebie przeprowadzają; do takich należy na przykład suche drzewo, papier, słoma, marmur.

Gdyby elektryczność służyła nam jedynie do przyciągania drobnych przedmiotów, nie mielibyśmy z niej żadnej korzyści, lecz wiemy, że ona może nam dawać światło, służyć jako lekarstwo na niektóre choroby, że może poruszać powozy, że nawet służy do złocenia lub srebrzenia różnych przedmiotów i do wiele innych celów, że wreszcie nowe odkrycia coraz nowe wykazują z niej korzyści.

Sposoby jej wytworzenia bywają też rozmaite, ale zawsze polegają na tej zasadzie, że dwie odmienne elektryczności ujemna i dodatnia dążą do połączenia się z sobą. Dawniej, jak już mówiliśmy, wytwarzano ją mechanicznie za pomocą tarcia, obecnie dostarczają nam jej sposoby chemiczne.

Chemia uczy nas, że jeśli jaki metal np. cynk, cyna, miedź, żelazo i t. d. są w zetknięciu z jakim kwasem (oprócz octu, jest ich wiele w przyrodzie), wtedy ulega pewnej zmianie, przestaje już być czystym cynkiem lub żelazem i t. p. Otóż jeśli mamy dwa różne metale w zetknięciu z kwasem, wtedy wytwarza się tu elektryczność. To odkrycie uczynił Volta w 1800 r. On to wymyślił przyrząd zwany stosiem Volty; składa się on z tak zwanych elementów, a każdy element z czterech krążków; 1) ze skóry, 2) z miedzi, 3) z cynku, 4) z sukna napojonego kwaśnym płynem. Wszystkie krążki są jednakowej wielkości, ściśle przylegają do siebie, a miedź z cynkiem są nawet z sobą spojone w wyżej wymienionym porządku. Jeden stos składa się z kilku lub kilkunastu takich elementów; do dwóch krańcowych elementów przyczepione są druty metalowe owinięte jedwabiem; otóż w takim stosie elektryczność zawarta w metalach wychodzi z równowagi rozdziela się na dodatnią i ujemną, pierwszą znajdziemy na drucie przyczepionym do krążka miedzi, na pole stosu. Jeśli zbliżymy do siebie dwa końce drutów, ujrzymy zelatuującą między nimi iskrę, wywołaną łączeniem się z sobą ujemnego i dodatniego prądu elektrycznego. Ta iskra, to miniaturowa błyskawica, którą ta sama przyczyna wywołuje w chmurach, różnoimienną elektrycznością napełnionych.

Ponieważ w stosie stale wytwarza się elektryczność, więc też iskry wciąż powstawać będą; jeśli zatem końce obydwóch drutów połączymy z kawałkiem węgla, jak o tem wspominaliśmy już w Wieczorach, wtedy prąd tak rozgrzeje węgiel który słabiej od metalowych drutów ją przeprowadzi że węgiel rozżarzy się aż do białości i da nam lampę elektryczną.

O innych sposobach wytwarzania potężnej siły pomówimy później.

# NIEZNAJOMA Z PODDASZA

powieść przez

Bronisławę Szostakową.

(Dalszy ciąg).

Matka przechodząc pocałowała Wańdzię w głowę a dziewczynka rękę jej do ust przycisnęła.

— O! mamusiu jacy my wszyscy szczęśliwi — rzekła z zapalem i głowę wsparła na piersiach pochylonej nad nią matki.

— Prawda, dziecko drogie, jesteśmy szczęśliwi, powinniśmy też gorąco dziękować za to Bogu.

Pani Brzeska uściskała córkę i poszła do gości. Wańdzia wzięła chustkę dużą i wyszła z pokoju, nie spotkawszy nikogo ktoby ją zapytał gdzie idzie.

Pociemku weszła na górę, dopiero wszedłszy na mały korytarzyk wyjęła z kieszonki kawałek świecy, który przygotowała sobie przedtem.

Zapaliła świecę i cichutko, na palcach podeszła pod drzwi poddasza.

Serce biło jej w piersiach jak młotem, czuła, że rumieniec twarzy jej zalewał, drżała prawie.

Nie wiedziała co począć, czy zapukać, czy otworzyć samej, bała się aby nie przestraszyć nieznajomej. Wtem usłyszała skomlącego Biedusia i lekkie skrobanie do drzwi.

Ktoś stękając przysunął się i poruszył zasuwkę.

Wańdzia drgnęła, uczuła taki przestrah, że byłaby rada ukryć się w tej chwili w najciaśniejszy kącik. Nie było jednak czasu, drzwi się uchyliły, a Wańdzia omal nie krzyknęła z przerażenia.

Oczom jej ukazała się kobieta, raczej cień kobiety o twarzy trupiej bladości, a czarne wielkie, błyszczące oczy spoglądały na nią ze zdziwieniem, lecz zarazem surowo.

Kobieta chciała spieszenie drzwi zamknąć, lecz siły ją opuściły, zachwiała się i prawie padła na posłanie leżące na ziemi.

Wańdzia weszła, zamknęła drzwi za sobą, strach ją opuścił a zdjęła litość wielką.

Przykłęka przy chorej, podsunęła poduszkę małą pod jej głowę i błyszczącym od łez wzrokiem spojrzała w oko.

Była to raczej klatka nie pokoik, a prócz siennika, maleńkiej poduszki, nic więcej tu nie było. Dzbanuszek na ziemi, kubek wyszczerbiony, butelka z typhą nafty i lampka słaba dająca światło, oto wszystko, nic, nic więcej!

Nieznajoma zebrała snąc wszystkie siły i głosem jak z grobu wychodzącym, zapytała ścigając brwi chmurnie:

— Kto jesteś? kto ci pozwolił przyjść tu, kto ci powiedział, że tu kto mieszka?

— Pani, mnie tu nikt nie przysłał — rzekła Wańdzia składając ręce na piersiach — przebacz, ale ja widziałam cię raz w nocy chodzącą po dziedzińcu, a że mój Biedus był z tobą, to obudziło moją ciekawość.

— Ciekawość — rzekła z gorzkim uśmiechem chora kobieta — ciekawość! gdyś ją zaspokoiliła moja panno, odejdz, zostaw mię w spokoju. Oh! czyż mi i umrzeć nie dadzą w cichości.

— Pani — jęknęła Wańdzia — przebacz, żem tu przyszła, ale nie odrzucaj mej pomocy.

— Kto ci powiedział, że potrzebuję pomocy? — zapytała groźnie, a czerwone plamy wystąpiły na twarz wychudzoną i bladą.

— Mnie nikt nie mówił, ale serce ciągnęło mnie do ciebie, ja... przeczuwałam, że tu mieszka ktoś bardzo.. nie-  
szczęśliwy.

Dziewczynka tak była rozrzewniona, że łzy drżały w jej oczach, to co widziała przechodziło wszelkie wyobrażenia

o nędzy, zdawało jej się, że jest gdzieś na innym świecie, lub, że to wszystko jest snem przykrym, wstrząsającym całą jej istotą.

— Mylisz się — zaczęła kobieta, chcąc wesprzeć głowę na rękę, lecz siły na to nie miała i padła zuów na lichą poduszkę — mylisz się, jestem szczęśliwą, a proszę cię tylko nie przerywaj mi mego szczęścia twoją obecnością. Nie chcę nic od ludzi, czyż żądam litości? Czy wyciągam rękę po jałmużnę? A, może ci żal tego psiaka, który przychodzi do mnie, to go weź, weź i zostaw mnie samą.

Lecz Wańdzia nie ruszyła się z miejsca, coś ją przykuwało do tej kobiety leżącej na barłogu, otulającej się szlafrokiem, na której nogach kładł się Biedus, jakby pragnął swą kudłatą siercią ogrzać jej zlodowaciałe od zimna ciało.

Kobieta podniecona wzruszeniem, zająściami którego się nie spodziewała, z bladej stała się czerwoną, a oczy jej i tak duże, rozszerzyły się jeszcze, błyszcząc dzikim niemal wyrazem...

— Idź! — wykrzyknęła prawie — czy nie widzisz, że mię męczy twoja obecność? Czego chcesz odemnie? weszłaś tu podstępnie, czy po to aby mi uragać? czy chcesz rozpowiadać coś tu widziała? Ach, widzę, że muszę i stąd usunąć się przed ludźmi, wypędzają mnie, a jednak nie przeszkadzałam nikomu!

Zmęczona mówieniem położyła rękę na piersiach, które podnosiły się przyspieszonym oddechem. Przymknęła oczy i leżała tak nieruchomo, a Wańdzia nie śmiała oddychać nawet, mimo to nie poruszyła się z miejsca.

Po chwili uniosła zmęczone powieki i rzekła ze zniechęceniem:

— Jesteś tu jeszcze, czy ty nie pójdziesz, aż mnie wśród nocy wypędzisz z pod dachu, abym gdzie w śniegu na mrozie dokończyła życia?

Głos jej stracił swą siłę, był jednak gniewny i surowy.

Wańdzia pochyliła się, a nim chora zdążyła się postrzedz, usta swe przycisnęła do wychudłej, zimnej jej ręki, na którą spłynęły gorące łzy dziewczęcia.

— Nie pani, nie pójde — rzekła miękkiem głosem, w którym łzy drżały — nie mogę cię tak zostawić, Bóg mię tu przyprowadził, abys nie była tak samotną i opuszczoną.

Kobieta milczała, łzy dziecka obcego, nieznanego jej, które poczuła na swej ręce leżącej na barłogu, zrobiło na niej silne i nieprzewidziane wrażenie. Zgorzkniałe, biedne to serce szarpane bólem rozpaczny niemal, zmiękło pod pocałunkiem gorących ust dziewczęcia. Znikł surowy wyraz jej twarzy, opanowała ją spokojna bezwładność, nie podnosiła jednak zamkniętych powiek, jakby rozmyślała w skupieniu, co jej począć wypada.

Tymczasem Wańdzia pragnąc, aby jaką pomocą udzielić nieszczęśliwej, a nie wiedząc jak sobie poradzić, poczęła cichutko odmawiać „Pod Twoją obronę”.

Wzrokiem szukała po ścianie jakiego obrazka, nie było go spostrzegła tylko nad głową chowej maleńki błyszczący krzyżyk, a pod nim takiż świecący mały medalik.

Zapatrzyła się myśląc o tem, czy to złoto być może, gdy głos słaby, bez cienia surowości zapytał.

— Jesteś tu jeszcze?

— Jestem pani — odpowiedziała Wańdzia nachylając się lekko — chciałam cię prosić abys mi pozwoliła przynieść ci szklankę herbaty.

— Żeby wszyscy wiedzieli, że tu leży żebaczka — odrzekła z powroconą goryczą.

— Nikt wiedzieć nie będzie, gdy pani sobie tego nie życzy — rzekła Wańdzia pospiesznie — u nas są dziś goście, mateczka zajęta, mogę więc to zrobić w zupełnej tajemnicy. Pozwól pani, wróce natychmiast.

Nim chora odpowiedziała, dziewczynka poraz drugi pocałowała jej rękę.

Chora drgnęła.

— Dziecko — rzekła głosem nic a nic niepodobnym do poprzedniego — dziecko, kto ciebie nauczył tak miłować

bliźnich, że nie wahasz się pocałować ręki kobiety biednej, tak biednej, że aż leżącej na barłogu? Ach, dziecko jakaś ty dobra, jak dobra!

— Ja? — rzekła Wańdzia z żywością — o nie, ja nie jestem dobrą, to moja droga, kochana mateczka jest dobrą jak anioł, ach! gdybyś ją pani знаła, pokochałabyś ją z pewnością. Ale idę po herbatę, powinnam to już była dawno uczynić.

Podniosła się, a odchodząc rzekła do Biedusia:

— Zostań tu piesku poczciwy, zostań, kocham cię teraz.

Wyszła, a kobieta prowadząc ją wzrokiem, szepnęła:

— Sen czy rzeczywistość? więc są ludzie na świecie dobrzy, szlachetni? Tak, muszą być chyba, kiedy wychowują takie dzieci. To dziecko płakało nad moją niedolą, nie, to nie sen, czuję gorące łzy tego anioła na mojej ręce.

Mówiąc to wyjęła wolną ręką buteleczkę z kieszonki sukni.

— To jest wino, mateczka czasem w zimę, daje mi kieli-szek w tej fiaszeczce, abym na pensyi wypila przy drugiem śniadaniu. Ale ja wczoraj nie wypila i dobrze się stało, może trochę wiać do herbaty?

— To już później, dziecko, to później — rzekła kobieta oddając mały kubek — posiliłam się i rozgrzałam, niech ci to Bóg zapłaci.

Wańdzia postawiwszy kubeczek zajrzała do dzbanuszka, był suchy.

— O, jeszcze pani wody przyniosę, i nim się chora spostrzegła, wybiegła z dzbanuszkiem, a w chwilę przyniosła go napełnionym.

— Zabrałam wodę z karafki — rzekła już śmiałym



Wodospady w Hönefos.

Przymknęła powieki, zesłabła tak, że się poruszyć nie mogła.

Niedługo czekała, cichutko jak pierwej, Wańdzia wsunęła się raczej aniżeli weszła do uboższego pokoiku, jeżeli można było tej klatce dać nazwę mieszkania.

W jednej ręce miała kubeczek z herbatą, w fartuszkę parę sucharek zawiniętych w papier. Postawiła świecę na ziemi, pomogła chorej usiąść na sienniku i podała jej kubek.

Lecz chora utrzymać go nie miała siły. Wańdzia z całą słodyczą wyręczyła ją w tem, podając wyjęte z fartuszka sucharki.

Mimo wyrobionej wstrzemięźliwości, kobieta z rodzajem chciwości spojrzała na nie, i widocznie hamując pospiech zaczęła jeść.

Ileż to już upłynęło czasu, gdy nic ciepłego nie miała w ustach.

Po chwili Wańdzia rzekła:

— Ja tu przyniosłam jeszcze coś posilnego, to pewnie pani dobrze zrobi.

głosem, jak do kogoś dobrze znajomego — nikt nie widział, goście są jeszcze, mateczka zajęta, a i Antosia także.

Chora milczała, pogrążona w zamyśleniu. Wańdzia mówiła dalej:

— Zostawię pani kawałek świecy i zapalki, a jutro rano przyjdę, przyniosę pani herbaty i posłużę, może co będzie potrzeba.

— Jak ci na imię dziewczeczko? — zapytała nieznajoma.

— Wanda Brzeska, mam już lat dwanaście skończonych.

— Dobre, poczciwe dziecko — mówiła kobieta jakby do siebie — dobra, albo...

Kobieta ściągnęła brew chmurnie. chciała dodać: „albo ciekawska” lecz myśl ta widocznie przykra jej była, lękała się wypowiedzieć ją głośno, aby te słowa nie odebrały jej chwilowej pociechy, jakiej dawno, to biedne, o ile się zdawało, serce nie doznawało.

Spojrzała jednak bacznie na dziewczynkę czarnemi, przenikliwemi oczami, lecz wzrok ten badawczy, Wańdzia

wytrzymała spokojnie, nie mieszawszy się nim ani na chwilę.

Pogodna, szczerą twarzą dziewczęcia budziła zaufanie, uśmiech okalający usta miał w sobie słodycz czystego serca, w spojrzeniu szafirowych oczu było tyle współczucia i życzliwości, że chora uspokoiła się, znikł z jej twarzy ów ostry, surowy wyraz, jakim powitała dziewczynkę.

— Tak, trzeba żebyś już odeszła panienko — rzekła po chwili milczenia — idź, lecz musisz mi przyrzec, że nie wspomnisz nikomu o tem, że ja tu przebywam.

— Nawet mameczce? — zawołała Wańdzia z żywością — ach pani, matka moja potrafiłaby zaradzić z pewnością, abyś nie była tak nieszczęśliwą, tak samotną i opuszczoną.

— Jesteś obowiązana do zastosowania się do mego życzenia, weszłaś tu mimo mej woli.

— Tak — rzekła Wańdzia — ale mnie tu coś pechało koniecznie, nie mogłam się oprzeć chęci poznania pani, zdało mi się, że ja, potrzebną pani być mogę.

— Wierzę w twoje dobre chęci — mówiła chora oddychając ze zmęczeniem — wierzę, ale dziecko, nie męcz mnie, ciężko mi mówić, ogarnia mię znużenie, idź, a pamiętaj, że zabraniam ci powtarzać komukolwiek, co tu widziałas.

— Dobranoc pani — rzekła Wańdzia z poddaniem się woli nieznamomej — jutro przyjdę.

— Jak chcesz — odrzekła chora cichym głosem, gdyż



Dzonki japońskie.

— Dobrze mi tak jest — rzekła trochę opryskliwie nieznamoma — nie żądam litości, a chyba chcesz abym wśród mrozu, będąc chorą wyszła z tego schronienia i zmarła gdzie na ulicy.

W głowie Wańdzi nie mogło się to jakoś jasno przedstawić, aby można odrzucać pomoc, będąc w takiej strasznej nędzy. Nie rozumiała, że to duma, wstyd bolesny swej biedy, pragnienie ukrycia się przed upokorzeniem przyjmowania jałmużny, odpychały tę kobietę od ludzi, skazywały ją na śmierć głodową, na zmarznięcie w tej klatce nieopalonej, co jednak przenosiła widocznie, w dziwnej, niepojętej zaciętości upor, czy dumy, nad bratnią pomoc ludzi rozumiejących, czem są takie straszne, bezlitosne opuszczenia.

Na te słowa chorej, dziewczynka stanęła z minką smutną i zakłopotaną.

— Moja mameczka taka dobra — szepnęła nieśmiało trochę.

— Cznie to, że dobra — odrzekła — ale namietaj, że

była bardzo zmęczoną, wyczerpaną nawet tem niezwykłym w jej życiu zdarzeniem; dobranoc ci — dodała łagodniej — a pamiętaj coś przyrzekła.

Dziewczynka właściwie nie przyrzekała, czuła się jednak związana jakimś słowem, ale tajemnica ta, ciążyła młodziutkiemu jej sercu.

Bieduś pozostał przy chorej, a Wańdzia wróciwszy z tej dziwnej wycieczki, usiadła przy stoliku nad książką i zadumała się głęboko.

W tej chwili pani Brzeska weszła do pokoju.

— Jeszcze się uczysz dziecko — rzekła zbliżając się do córki i gładząc lśniące jej włosy — myślałam, że przyjdiesz trochę do nas, wyglądałam cię.

Wańdzia zaczerwieniła się, lecz matka tego nie zauważyła.

— Pójdę mameczko — rzekła składając książki — umiem już wszyskie lekeve.

Przytuliła się do matki, a w serdecznym jej uścisku, ledwie nie wybuchnęła płaczem.

Myślała o tej biednej, samotnej i chorej kobiecie, o jej nędzy, głodzie i zimnie, a serce jej wezbrało żalem i litością.

— Zbyt długo kochanko siedziałaś dziś nad książką — rzekła pani Brzeska, kładąc rękę na czole dziewczynki — głowę masz gorącą, twarz ci pała, czy aby nie jesteś chorą?

— Nie, nie, mateńko — zawołała Wańdzia z żywością, gdy zlekła się, czy tajemnica nie zdradzi się badaniem matki — chodźmy mateńko, odpocznę teraz trochę.

Pani Brzeska pilnie spoglądała na córkę, mocne rumieńce na jej twarzyczce niepokoiły ją.

Ale dziewczynka wyglądała wesoło, choć na jej czole i w oczach, znać było zamyslenie.

Gdy się goście rozeszli, Wańdzia tłumacząc się zmęczeniem, spiesźnie udała się na spoczynek, rzeczywiście była zmęczoną i usnęła zaraz.

Gdy matka przyszła do niej, dziewczynka spała snem twardym i spokojnym.

— Nadto pracuje — rzekła pani Brzeska do męża — powstrzymywać ją czasem muszę.

— I dobrze robisz — odrzekł pan Brzeski — zbyt ciężkie natężenie myśli może źle działać na jej zdrowie, jeszcze jest bardzo młoda, ma lata pracy przed sobą.

Pani Brzeska nie kazała rano budzić Wańdzi jak zwykle, a ta po wzruszeniach dnia poprzedniego spała tak twardo, że obudziwszy się, z prawdziwym przerażeniem spostrzegła, że zostaje jej ledwie tyle czasu aby się ubrać, zjeść, i to spiesźnie śniadanie, i jeszcze spieszniej iść na pensję.

(d. c. n.) X

## KOMPAS KWIATOWY.

Uczony przyrodnik Lineusz, obserwując czas jakiś kwitnienie roślin, ułożył zegar roślinny, to jest kalendarz kwiatowy, notując starannie chwile rozwijania się i zamykania koron niektórych kwiatów. Inny znów botanik zowie hygrometrem kwiatowym szereg roślin, których kwiaty rozwijają się, zamykają lub przybierają jakiś nienaturalny wygląd gdy zanosi się na słotę. Poszukawszy pilnie możnaby zebrać pewną liczbę roślin, które posłużą jako busola; to jest wskazywać będą kierunek drogi zbłąkanemu podróżnemu. W lasach mech pokrywający drzewa, dostarcza doskonałych wskazówek, jest najobfitszy na części pnia zwróconej w stronę północno-zachodnią. Jodła stojąca w odosobnieniu na słońcu, zawsze zwraca ku północy końce swych gałęzi, a rosnąca na jałowych gruntach dzika cykorya o nagich gałęziach niebieskich kwiatkach, zachowuje się w taki sam sposób. Ale najdoskonalszym kompasem roślinnym jest łoścyga albo dzika sałata (*Lactuca scariola*) z rodziny złożonych, pospolita wszędzie. Rośnie na gruncie jałowym, rozkwita w czasie najupalniejszego lata, wznosząc swe cienkie gałęzie tak wysokie, że czasem wzrostem dorównywa człowiekowi. Przypatrzmy się pilnie jej liściom, są prostopadłe do łodygi, jedne wierzchnią stroną zwracają się ku wschodowi, drugie ku zachodowi, końce zatem jednych wskazują północ, drugich południe. Sprawdzić to możemy za pomocą igły magnesowej.

Rośliny więc nie dosyć, że służą nam jako pokarm, że leczą nas z różnych chorób, że zadawalniają najwybredniejsze gusta smaku, wzroku i powonienia, ale jeszcze ścisłemu obserwatorowi obyczajów ich mogą zastąpić: kalendarz, zegar, hygrometr, Kompas.

Na nieszczęście tylko, biedne te roślinki zależne są od tysiąca okoliczności zewnętrznych.

W latach zimnych kalendarz kwiatowy opóźnia się bardzo, w czasie wilgotnym wskazówki hygrometru co do deszczu nie będą ściślejsze, niż tekturowego kapucynka, kryjącego się do kapliczki. Gdy niebo pokryje się chmurami psuje się i zegar, ogłaszając np. południe o godzinie 4 tej, a busola nie wskazuje już głównych stron świata zbłąkanemu wśród obszernych łąk i lasów botanikowi.

Wszystko to jednakże niechaj nas nie zraża do pilnego badania tych prawdziwie cudownych zjawisk.

Nie wymagajmy od roślin, aby nam dawały więcej, niż mogły, zadawalniajmy się wskazówkami, które często mogą być użyteczne wieśniakom, choć nie będą zbyt ścisłe.

A. R.

## Wodospady w Hönefos.

Nie tak łatwo możnaby wynaleźć drugie miejsce na całej kuli ziemskiej, w którym by obfitość wody, obok górzystego położenia brzegów i skalistej natury łożyska, tworzyło równie malownicze widoki, jak na półwyspie skandynawskim. Częstokroć wody jakiegoś bystrego strumienia, płynąc ku nizinie, napotykają wielokrotnie przeszkody, ze skał nagromadzonych po drodze, przez które przedostając się z szumem, tworzą wspaniałe katarakty.

Do podobnych zjawisk przyrodzonych, należą wodospady w Hönefos przedstawione na rycinie naszej, rozbijające się o całe szeregi skał, które przebiegać muszą.

## DŻONKI JAPONSKIE.

Statki, które przedstawia rycina nasza tak zwane dżonki, używane są zarówno w Chinach jak w Japonii i odznaczają się odrębną budową. Zrobione z wielkiej liczby belek pospajanych dość niedbale, mają po dwa maszty i podwójne żagle, które gdy je zwijają, układają się w fałdy. Dżonki w ogóle, to jest takie jak tu widzimy, bywają ciężkie i służą do przewożenia towarów, są wszakże dżonki lżejsze i niewielkich rozmiarów, które posługują się Chińczycy i Japończycy rozbójnicy morscy. Uwijają się one bardzo żwawo po wodzie, zwłaszcza gdy otoczą statek, który chcą złupić. Właściciele ich ze wszech stron wdzierają się na pokład i o ile nie są odparci przeważną siłą, stają się częstokroć panami okrętu.

## Lew świętego Marka

(z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

Franciszek naturalnie został, ale kontent był, gdy się wszystkie uroczystości skończyły, bo był przyzwyczajony do ciągłego zajęcia. Lecz nawet po odbytych ślubie, nie zaraz mógł się puścić w podróż. Flota genueńska krążyła wciąż po morzach i Pisani od czasu bitwy pod Antium ani razu się

z nią nie spotkał. Handel ustał, gdyż kupcy obawiając się schwytania przez nieprzyjaciela, nie wysyłali swoich okrętów na morze.

Pewnego dnia Polani wezwał Franciszka do siebie i rzekł mu te słowa:

— Mój drogi chłopcze, my kupcy musimy teraz siedzieć cicho, bo nieprzyjaciel krąży dokoła i nie daje się nigdzie schwycić. Od niejakiego czasu sprostozegam, że się nudzisz i że ci tęskno do morza; wstąp do służby rządowej. Pisani ciągle się o ciebie dopomina, a po twojem znalezieniu się pod Antium nie wątpię, że mi się uda wyrobić dla ciebie miejsce pomocnika kapitana na jednej z galer wojennych. Cóż ty na to powiesz?

— Ja z największą radością zgadzam się na tę propozycję, ale niedawno mi pan mówił, że nie należy rzucać handlu dla służby wojskowej.

— Mówiłem i nie byłbym zmienił zdania, gdyby nie to, że handel teraz ustał, zresztą nawet dla kupca bardzo to korzystne, jeżeli jest dobrze notowanym u rządu. W Wenecyi wszyscy wielcy kupcy pochodzą z rodzin szlacheckich i kupiectwo nie przeszkadza im w otrzymaniu najwyższych zaszczytów. Ty zyskałeś już sobie imię w bitwie pod Antium. Nie zaskodzi, jeżeli się jeszcze czemś odznaczysz. Więc radzę ci wstąpić do służby rządowej na czas wojny, a jak się wszystko uspokoi wrócisz do handlu.

— Naturalnie pójdę za radą pana. Jeżeli nie będę mógł dostać miejsca oficera, to pójdę jako ochotnik.

— Już ja się wystaram o dobre miejsce dla ciebie, Ruffino Giustiniani miał dowodzić jednym z okrętów, ale teraz po ślubie nie zechce odjechać.

Nazajutrz po tej rozmowie Polani wręczył Franciszkowi nominację na pomocnika kapitana na pokładzie „Plutona”, którą otrzymał rano od Signorii

— Ucieszysz się, gdy się dowiesz, że Matteo będzie ci towarzyszył. Matteo wrócił na ślub brata.

— Braknąć nam tylko będzie biednego Giuseppa. Straciłem w nim wiernego sługę i przyjaciela.

— Nie smuć się napróżno. Posłałem do moich agentów z Tunisu rozkaz, ażeby wykupili całą załogę „Nasos” a przedewszystkiem żeby pytali o Giuseppa. Przyjdzie im to z trudnością; gdyż równocześnie sprzedano mnóstwo innych więźniów, ale naznaczyłem tak wielką nagrodę, że się pewnie postarają. Zanim wrócisz z wyprawy, nadejdą wiadomości o Giuseppie.

Matteo serdecznie się ucieszył, gdy mu powiedziano, że będzie służył pod Franciszkiem.

— A jabyłem wolał, żebyśmy razem byli ochotnikami, bo to dziwne, że ja jestem oficerem a ty prostym żołnierzem.

— Wcale nie dziwne, ty się tak świetnie odznaczyłeś i od dwóch lat dajesz sobie radę w najtrudniejszych wypadkach, a ja prócz bitwy pod Antium nie miałem żadnej poważnej przeprawy.

Na krótko przed odjazdem przyniesiono Franciszkowi list od signora Giustiniani, który go zapraszał do siebie, aby razem z Matteo i towarzyszymi z „Plutona” spędził ostatni wieczór.

W pałacu Giustinianich zastał nietylko Mattea i ochotników, jego kolegów, ale kapitana galery i wszystkich oficerów którym signor Giustiniani osobiście przedstawił Franciszka i przypomniał jego zasługi oddane miastu. Kapitan, nazwiskiem Carlo Battini, daleki krewny Mocenigów niechętnie patrzył na Franciszka. Oficerowie także zimno go przyjęli bo gniewało ich, że cudzoziemiec i do tego tak bardzo młody zajmuje wyższe miejsce niż oni.

## XV.

### Bitwa pod Pola.

Eskadra złożona z czterech galer odplynęła do Cypru, gdzie Pisani nadaremno usiłował wyprzeć Genuńczyków z Fanagosty. Obie floty złączyły się przy końcu sierpnia;

Pisani przyjął Franciszka z otwartymi rękami i w obec zebranych oficerów powiedział, że się raduje, że Rzeczpospolita nareszcie uznaje zasługi osobiste, a nie powoduje się wpływami familijnymi.

Przez dwa miesiące flota krążyła wśród wysp Lewantu, wzdłuż wybrzeża Grecyi, Istrii, Dalmacyi, w nadziei, że spotka statki genueńskie, ale nadaremnie. W listopadzie, kiedy się Wenecyanie znajdowali u wybrzeży Istrii rozpoczęła się zima na dobre. Pisani pisał do rządu prosząc, aby mu pozwolono wrócić do Wenecyi i w mieście doczekać się wiosny; ale Rada nie chciała się na to zgodzić, w obawie, że gdy się Genuńczycy dowiedzą iż flota wenecka wróciła do domu, zdobędą wyspy należące do Rzeczypospolitej i skłonią Istrią i Dalmację zawsze skore do buntu aby powstały przeciwko swojej władczyni.

Zima tego roku była niezmiernie ostra i gdy nadeszła wiosna 1379 r. z dwudziestu galer Pisaniego, zaledwie sześć posiadało całkowitą załogę. Wiele statków zniszczyły burze, marynarze powymierali lub chorych odesłano do domu, tak, że zebrawszy wszystkich ludzi zdołano zaledwie uzupełnić załogi owych sześciu okrętów.

Gdy mrozy zelzały przysłano mu na pomoc z Wenecyi dwanaście statków, po większej części uzbrojonych przez jego osobistych przyjaciół. Polani wystawił dwie wielkie galery. W osiemnaście żagli wyruszył Pisani na pełne morze aby nareszcie spotkać Dozę i stoczyć z nim stanowczą bitwę. Załoga „Plutona” znajdowała się w najlepszym stanie, a to dzięki energii i zabiegliwości Franciszka. W największą niepogodę wychodził na ląd i pilnował, ażeby przywożono drzewa w obfitości nietylko dla kajuty oficerów, ale i dla tej części statku, gdzie mieszkała załoga. Wiedząc, że Polani nie pożałuje pieniędzy, aby utrzymać ludzi w dobrym stanie wymagał od agentów ciepłych ubrań i obfitej żywności i rzucił statkiem, podczas gdy kapitan i oficerowie wylegiwali się w ciepłych kajutach, spijali wino i grali w kości.

Za przykładem Franciszka, Matteo i kilku jeszcze ochotników krzątało się około dobrobytu załogi, i podczas, gdy na innych statkach nie było komu w razie potrzeby rozpiąć żagli, załoga „Plutona” prawie się nie zmniejszyła przy końcu zimy. Admirał zwiedzając statek, ze zdziwieniem patrzył, na wesołe i zadowolone twarze majtków i dziękował kapitanowi, a kapitan ani wspomniał o Franciszku któremu to podziękowanie słusznie się należało.

Nasz przyjaciel ani się żymał, ani martwił niesprawiedliwością kapitana, spełniał swój obowiązek i ta myśl napełniała go zupełnem zadowoleniem. Zresztą między nim a oficerami „Plutona” nigdy nie było zażyłości; oni go uważali za intruza i zazdrościli uznania, z jakim się odzywał o nim admirał. Wszyscy byli wybrani jedynie przez wzgląd na rodziny i żaden nie znał się na manewrach okrętowych.

W owych czasach, nietylko w Wenecyi, ale na całym świecie, na morzu bili się nie marynarze, ale zwykli żołnierze. Szlachta ze swymi pocztami wsiadała na okręta i ona to walczyła z nieprzyjacielem; kierowaniem zaś statków zajmowała się załoga, która znów nie brała udziału w bitwach. Ztąd też ani dowódzca siły zbrojnej, ani żaden z oficerów, prócz Franciszka nie byli w stanie wydać załozdze najprostszych rozkazów. Ten zaś wzbudzał taki szacunek i zaufanie wśród majtków, że go chętniej słuchali, niż własnego kapitana.

Franciszek obojętnie znosił niechęć, jaką mu okazywali oficerowie. Wiedział, że powstała z zazdrości, bo chociaż był najmłodszy wiekiem i znaczeniem, otrzymał jednak podziękowanie Rzeczypospolitej i honorowe obywatelstwo Wenecyi, a admirał ile razy był na statku, o niego najpierw się pytał i zawsze życzliwie o nim się odzywał. Ale zewnętrzne pozory uprzejmości zachowane były najskrupulatniej, gdyż wiedziano przez Mattea, że jest mistrzem w robieniu bronią i że najlżejszej zniewagi nie puści płazem.

Przez trzy miesiące poszukiwania floty genueńskiej były nadaremne. Polani opłynął brzeg Apulii i wrócił do Pola z wielkim konwojem statków napełnionych zbożem, gdy 7-go maja pojawił się Doża na czele dwudziestu pięciu okrętów,

Ale Pisani nie chciał przyjąć bitwy, gdyż Zeno odpłynął z częścią floty i chociaż przysłano mu posiłki z Wenecyi, miał zaledwie dwadzieścia jeden okrętów, i wielu marynarzy chorowało na zaraźliwe choroby. Admirał jednakże nie mógł kierować się swoim własnym zdaniem. W Wenecyi panował zgubny obyczaj, że każdemu dowódcy, czy to na lądzie, czy na morzu dodawano komisarzy cywilnych, w Wenecyi nazywano ich „proveditori”, którzy kępowali nominalnego wodza. Kiedy więc Pisani zwołał radę wojenną i oznajmił, że pragnie pozostać w porcie, aż do powrotu Zena, zakrzyczeli go „proveditori” i nazwali tchórzostwem doświadczoną rozumą admirała. Pisani, oburzony dobył miecza i byłby ukarał doradców, gdyby go kapitanowie nie powstrzymali.

Zatem postanowiono bitwę i Pisani musiał bez szemrania przygotować się do walki, w której nie widział zwycięstwa. Wszedł na swoją galerę i tak przemówił do zebranej załogi:

— Pamiętajcie, moi bracia, że nieprzyjaciel, którego macie przed oczyma, to ten sam, któregośmy zwyciężyli przy wybrzeżu rzymskim. Niech was imię Lucjana Dorii nie przeraża. Nie nazwiska wodzów zwyciężają, ale dłonie i serca weneckie. W imię św. Marka za mną!

Majtkowie okrzykiem radości przyjęli mowę admirała i natychmiast ruszono do ataku.

Walczono z obu stron bohatersko, załogi zczepionych statków wdzierały się naprzemian na jeden to na drugi. Carlo Battino padł na początku bitwy i Franciszek objął po nim dowództwo. Galera jego miała za przeciwnika jeden z największych okrętów genueńskich, lecz choć siły nieprzyjacielskie przeważały, ludzie z „Plutona” tak mężnie odpierali napady, że po godzinnej walce ani na krok nie ustąpili.

Nagle Genueńczycy puścili luki i rozpiąwszy żagle odpłynęli. Franciszek obejrzał się aby poznać powód tego manewru i zobaczył, że wszystkie galery genueńskie unykają a Wenecyanie je ścigali.

Więc i on pogoził wraz z innymi. Pokazało się jednak, że ucieczka była udana, ażeby wywołać nieporządek we flocie weneckiej i dokazali tego, gdyż po paromilowym pościgu zwrócili nagle i napadli na rozproszone statki Wenecyan. Zanin się te ostatnie zebrały, już je otoczono, rozbito, a załogi wzięto w niewolę. Pisani widząc, że bitwa przegrana, dał rozkaz odwrotu i sam z sześciu galerami zdołał się przebić przez szeregi nieprzyjacielskie i schronić do portu Parenzo, reszta dostała się do niewoli.

Około ośmiuset Wenecyan padło na placu, dwa tysiące czterystu dostało się w ręce nieprzyjaciela. dwunastu dowódców zabito, a pięciu uwięziono. Genueńczycy ponieśli także wielkie straty i Doria był pomiędzy zabitymi. Zginął od oszczepu Donata Zena, prawie w chwili tryumfu.

Pluton bronił się wytrwale przeciwko trzem napastującym statkom, lecz otoczony przez genueńczyków, musiał w końcu uleść. Załogę, która po większej części była ranna, zamknięto na dnie galery.

— Dziś zły dzień dla Wenecyi — rzekł Matteo patrząc ze smutkiem na towarzyszy. Powiadają, że tylko sześć naszych galer uszło, resztę zabrali Genueńczycy. Jedno nas może pocieszyć, to, żeśmy się ostatni poddali.

— Nie rozpaczaj, a daj mi pierw opatrzeć twoje rany, w dwóch miejscach jesteś cięty mieczem.

— A ty pewnie w dziesięciu, Franciszku, niech ja pierwej spełnię czynność lekarza.

— Kapitan zawsze ostatni o sobie myśli; zdejm kurtkę zaraz cię obandażuję. A panowie — rzekł zwracając się do oficerów — pomagajcie jedni drugim, bo od Genueńczyków nie możemy spodziewać się ratunku. Ich lekarze mają dosyć do czynienia ze swoimi. Naprzód opatrzyny najciężej rannych, potem tych, którzy tak szybkiej pomocy nie potrzebują, ale sami sobie musimy wystarczyć.

Na szczęście w przedziale, w którym się znajdowali, było kilka baryłek wody, bo Genueńczycy ani zajrzeli do więźniów, którzy już niezmiernie cierpieli z pragnienia, gdy odkryto wodę. Wybit dno, napełniono wielkie płaskie misy i ludzie kłękając pili po kolei.

Nazajutrz rozkazano więźniom, aby się stawili na pokładzie. Niektórzy umarli podczas nocy, inni mieli dość siły by się podnieść. Zapisano nazwiska reszty i genueńscy oficerowie nie mogli się wydziwić, że tak młody chłopak jest dowódcą statku.

— Ja byłem tylko pomocnikiem dowódcy — objaśnił Franciszek — Carlo Battini zginął na początku bitwy.

— Ale i na pomocnika jesteś za młody. Należysz chyba do wielkiej rodziny, że cię wyniesiono ponad tylu starszych.

— W każdym razie wybór był trafny — rzekł jeden z kapitanów, który sam walczył z załogą „Plutona” — bo trzeba przyznać, że niema statku lepiej bronionego w całej flocie weneckiej. Zauważyłem tego młodzieńca, jak szedł zawsze na czele swoich ludzi i podziwiałem jego zręczność we władaniu bronią, a potem trzy nasze statki otoczyły jego galerę, bił się jak lew napadnięty przez psy. Godzien on był miejsca, jakie zajmował, czy je zawdzięczał urodzeniu, czy nie!

— Nie należę do żadnej znanej rodziny w Wenecyi. Nazywam się Hammond i jestem Anglikiem.

— Czyś może walczył jako najemnik? — zapytał dowódzca.

— Nie, posiadam obywatelstwo Wenecyi i nazwisko moje jest zapisane w jej księgach, o czem zaświadczą moi towarzysze.

— Serdecznie się z tego cieszę, gdyż Pietro Doria, który po śmierci brata został admirałem, rozkazał, ażeby każdego najemnika natychmiast zabijać.

— Co za barbarzyński rozkaz — zawołał Franciszek z oburzeniem. Najemnik ujęty w bitwie, ma takie same prawa jak i obywatel miasta i jeżeli wasz admirał łamie umowy wojenne, to każdy Włoch powstanie przeciw niemu.

Genueńczyk zmarszczył brwi, słysząc śmiało wyrazy Franciszka, lecz w głębi duszy był tegoż samego zdania; w ogóle wszyscy oficerowie genueńscy wiedzieli dobrze, że taki wyrok oburza nie tylko nieprzyjaciół lecz ich własnych żołnierzy.

(d. c. n.)

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

**TREŚĆ:** Tygrys i orangutang (z drzew.) — O elektryczności p. A. M. — Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Kompas kwiatowy p. A. R. — Wodospady w Hönefos (z drzew.) — Dżonki japońskie (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — **Dodatek:** Mali Robinsonowie w skalach nadmorskich, przełożyła M. B. (z drzew.) — Do skowronka, wiersz p. Helenę Bojarską. — Ciepło wewnętrzne ziemi. — Baśń o królewiczu Hołbku, rozsianem ziarnie i dobrotliwym pasterzu p. Z. Morawską. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.



# WIECZORY RODZINNE

## Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

Gdy doszła do stu:

— Jakże śliczny byłby z nich naszyjnik — rzekła — że trzy razy możnaby nim szyję okręcić i to nie bardzo ściskając!...

— A teraz białe kamyki?... Muszę zobaczyć wiele ich jest?

Podczas gdy Iwonek zajęty był liczeniem, a doszedłszy do dwudziestu zaczął znów na nowo, Melcia zapaliła świecę, by lepiej dopilnować gotującej się kolacyi.

— Melciu, chodź zobaczyć! Cała grota oświecona! — zawołał Iwonek, wskazując na poukładane kupki kamieni, które błyszcząły i mieniły się wszystkimi kolorami tęczy.

— Moznaby pomyśleć, że to robaczki świętojańskie, tylko wiele jaśniej świecące! — odrzekła Melcia; — prawie tak jasno jak gwiazdy w noc mroźną. Ale jakież one piękne te kamyki!

— Wiele ich jest razem?

— Białych sto dwadzieścia, a wszystkie tak duże, jak orzeszki laskowe... Zjadłbyś pewno z przyjemnością kilka orzeszków... Pamiętasz Iwonku, jakie je lubi?... —

— Och, żeby smakowały, to więcej jak pewne! Ryby znudziły mi się okropnie, chce mi się pić po nich zawsze... Ale Melciu, wiele też jest czerwonych kamyków w szkatułce?

— Sześćdziesiąt — po chwili milczenia odrzekła Melcia.

— A zielonych?

— Zielonych, dziewięćdziesiąt.

— I to jeszcze nie koniec, masz tu szafirowe, podobne do koloru twych oczu — i to mówiąc wziął jeden z leżących kamieni i przyłożył go do oka siostry. — Zupełnie taki sam! — zawołał.

— Byłoby czem wyhaftować sukienkę dla Najświętszej Panny, bo i szafirowych jest blisko sto sztuk.

— A szkatułka, patrz siostrzyczko jaka zabawna!... Z temi rzeźbionymi na wierzchu zwierzątkami!...

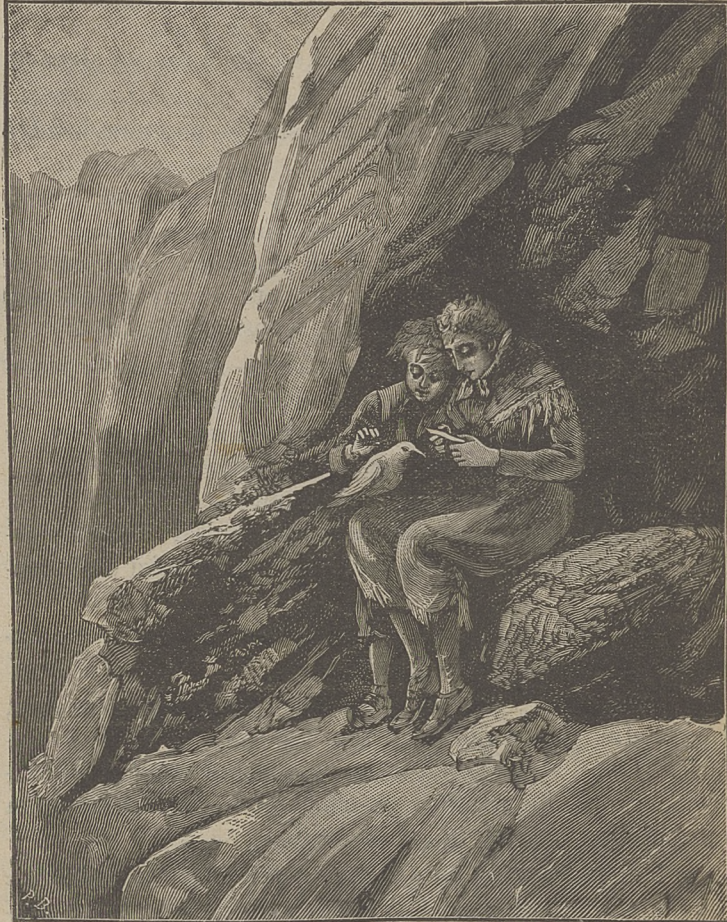
— Całe szczęście, że wewnątrz tak starannie obita, bo inaczej dostałaby się tam woda i wszystko poniszczyła... Perełki dawnoby się rozpuściły! Pamiętam, że rozgniotłem raz taką perełkę, w środku był wosk. Tych nie możnaby nawet nawlec na nitkę, bo dziurek nie mają przekłutych.

Reszta wieczoru zesła dzieciom na bawieniu się temi dziwnymi kamykami.

Dzień następny przyniósł nowe zajęcia, rozrywki i życie małych więźniów płynęło dalej cicho i jednostajnie.

Przybyła im tylko nowa towarzyszka zabaw, co-dziennie mewa oddawała im wizyty w grocie,

Przychodziła rano i gdy dzieci spały jeszcze, wskakiwała na postanie, dziobała ich po twarzy, ciągnęła za włosy... Tak był oswojona i łaskawa, że przebaczano jej chętnie ten zbytek poufałości, a wiedząc, że w ten sposób dopomina się o jedzenie, dawali jej zaraz śniadanie. Jednego dnia nie ukazała się wcale... Nieobecność



Z przerażeniem Melcia wyczytała na niej słowa...

jej zaniepokoiła dzieci. Coby się jej stać mogło? Czy zdarzył się jaki wypadek? Iwonek gwizdnął, na ten sygnał zwykle zaraz przybiegała, dzisiaj i to wołanie okazało się bezskutecznym.

Dzień przeszedł smutnie. W samotności, w jakiej znajdowali się nasi mali bohaterowie, brak tak nawet małej jak mewa, żyjącej istotki, dawał się bardzo odczuwać.

— Niewdzięczna — mówił Iwonek — byłem przekonany, że przywiązała się do nas!

— Dlaczego mówisz: niewdzięczna? Cóż w tem dziwnego, że kiedy skrzydełko jej się zrosło, w ślad swych towarzyszek poleciała, gdzieś hen, w dalekie strony!

— Szczęśliwszą jest od nas, nieprawdaż siostrzyczko? Chciałbym mieć skrzydła!... a ty?

— Nie mamy rodziców, nie mielibyśmy dokąd polecieć!

— Najprzód polecilibyśmy nastraszyć karczmarkę, stukając z całych sił w jej okno, a później pofrunęlibyśmy wysoko, wysoko, aż pod same gwiazdy... one zbliżają się pewno tak jasno, jak nasze kamyki, a może jaśniej jeszcze ..

Pod wieczór, gdy już dzieci wróciły do groty i zabierały się do posiłku, posłyszały szelest skrzydełek, i przyjaciółka ptaszyna ukazała się przed niemi, dopominając się o przynależną część kolacji.

— Otóż i ona! — zawołały uradowane.

— Jaka ty pocziwa, że powróciłaś — mówił Iwonek. — Chodź... chodź... muszę cię pocałować.

I wyciągnął rękę, weszła na nią mewa, a z ręki skoczyła na kolana.

— Ach, Melciu! Patrz tylko co ona ma na plecach, kawałek zapisanego papieru.

— Kawałek zapisanego papieru? — powtórzyła zdziwiona Melcia. — Dajże mi ją tutaj.

I wzięła na ręce nie stawiając oporu mewę, wyszła z nią przed grotę, bo na dworze było daleko jaśniej. Na szyi mewy, przyklejona do piórek znajdowała się mała karteczka. Z przerażeniem Melcia wyczytała na niej te słowa: „Czy znajduje się kto, wśród tej skały?”

— Co za nieszczęście, Iwonku! — zawołała — jesteśmy odkryci, trzeba będzie stąd uciekać...

— Prawdę mówiąc, od dość dawna jesteśmy tu uwięzieni — odrzekł Iwonek.

— Ale przynajmniej bezpieczni!

— Kto to wie. Jeżeli ten, kto napisał tę kartkę zechce nas odszukać, a odszukawszy odprowadzi do karczmarki?

— Czekajmy do jutra, zobaczymy czy jeszcze co napiszą. A kartkę trzeba jej odlepić.

To mówiąc, Melcia umaczała gałganek w wodzie, zmyła nim przyklejoną kartkę i puściła mewę na wolność. Ona jednakże nie miała widocznie zamiaru opuszczenia groty, bo wtuliła główkę pomiędzy skrzydełka i usiadłszy w ciemnym kąci, usnęła.

Melcia tej nocy bardzo źle spała! Otrzymała kartka niepokoiła ją wielce. Czy podejrzewał ich kto z mieszkalców wioski? czy też może jakiś rybak, będąc na morzu, dojrzał dym wydobywający się ze skały i chcąc mieć sumienie spokojne, starał się zbadać rzecz całą? Największym strachem przejmowała ją myśl o kuzynie, przybyłym na pogrzeb matki. Ten musiał pewno szukać wszędzie śladu ich śmierci. Domek rodziców należałby wtedy do niego i mógłby go sprzedać korzystnie... Ach, jak ona się go bała! Teraz nie było co robić, tylko czekać cierpliwie co dzień następny przyniesie. Nazajutrz deszcz lał od samego rana, nie można było wyjść z groty. Skrzydełka mewy były tak mokre, że nie można było ani myśleć, o przyklejeniu do nich jakiegokolwiek papieru. Deszcz padał ciągle. Morze było tak wzburzone, że dookoła nie było widać ani jednej łodzi rybackiej.

Taka pogoda napędzała zwykle dużo ryb do zastawu. Zapas sucharów zmniejszał się z dniem każdym, masło

zaczęło się psuć, więc małą resztkę jaka pozostawała, roztopiła Melcia w rondelku.

— Och, gdybym mógł zjeść jabłko! — powtarzał Iwonek — oddałbym najlepsze kawałki mięsa i ryby, za jedno jabłko!...

(d. n.)

## DO SKOWRONKA.

Witaj nam skowronku! śpiewaku radosny!  
Z twojem tu przybyciem czuć już tchnienie wiosny,  
Słońce cieplej świeci, ciepły wiatr powiewa,  
Kielkują roślinki, w pączkach stoją drzewa.

Witaj nam skowronku! ty dodasz ochoty,  
Oraczom, co w polu zaczęły roboty,  
Co orzą w zagony tę ziemię, tę czarną  
I z błogą nadzieją rzucają w nią ziarno.

Śpiewaj skowroneczku! śpiewaj lubie ptaszę,  
Rozweselaj piosnką kraj nasz, strony nasze  
Niech twój śpiew, twój pacierz dźwięczy z ranną zorzą,  
Wymódl dla nas łaskę i opiekę Bożą.

Helena Bojarska.

## CIEPŁO WEWNĘTRZNE ZIEMI.

Pod koniec obiadu Kazio opowiadał ojcu, co czytał w książce.

— Dowodzą tam — mówił — że ziemia wewnątrz jest rozpalona. Jak to być może? Wcale tego nie rozumiem.

Wtej chwili właśnie wniesiono deser. Były to jabłka pieczone w piecu. Mama wzięła jedno, ojciec drugie. Młodszy braciszek Kazia, Marek, chłopczyk bardzo łakomy, chwycił większe z dwu pozostałych, poniosł prędko do buzi i ugryzł, ale w tejże chwili rzucił je, krzywiąc się.

Jabłko, gdy je trzymał w palcach, zdawało się przestudzone, wewnątrz jednak było bardzo gorące. Marek sparzył sobie buzię. Śmiano się z przygody małego łakomca, a ojciec, pokazując jabłko, które potoczyło się na talerz, rzekł:

— Patrzcie dzieci, macie tu wyobrażenie ziemi. Pieczone jabłko wytłómaczy wam to właśnie, co chciał wiedzieć Kazio. Podobnie jak jabłko ziemia jest kulistą, podobnie na powierzchni jest wystudzoną, a chodząc po niej, trudno się nawet domyślić, że we środku jest gorąca.

— Patrzcie — przerwał Marek — mucha usiadła na mojem jabłku.

— Otóż i my, ludzie — mówił dalej ojciec — podobnie jak ta mucha, nie domyślamy się gorąca, jakie istnieje we środku ziemi. Uczni jednak wiedzą o niem oddawna. Gdybyśmy wykopali w ziemi dół, na 30 metrów głęboki, jużbyśmy spostrzegli, że w ziemi jest trochę cie-

plej, niż na powierzchni, gdybyśmy zeszli jeszcze niżej, musielibyśmy zrzucić część ubrania, jak robią górnicy, gdy wybierają z wnętrza ziemi sól lub rudy metali, a w głębokości 1500 metrów z trudnością już tylko mógłby żyć człowiek.

Gdybyśmy mogli wykopać w ziemi otwór bardzo głęboki, czy wiecie co by się stało? Spójrzcie na jabłko Marka. Widzicie z zagłębienia, które zrobił ząbkami, wychodzi dymek, a raczej para i sok gorący spływa po łupince. Stałoby się zupełnie to samo, gdyby ząbki naszego łakomca były dość długie i ostre, aby przebić zdołały powłokę skrzepniętą ziemi. Dzięki Bogu jednak, że takich niema. Mimo to trafia się coś podobnego w naturze, bez żadnego usiłowania ze strony człowieka, szczególnie nad brzegiem morza. Ze szczelin na szczytach wysokich gór wychodzi dym i wypływa rodzaj rzadkiego ciasta, które nazywają lawą. Takie góry nazwali ludzie wulkanami, a szczeliny na szczycie nazywają się kratery.

— A więc — odezwał się Kazio — ząbki Marka zrobiły w jabłku wulkan.

— Takich gór, wyrzucających ogień i lawę, czyli wulkanów mamy w Europie trzy: Wezuwiusz, Etna, Hekla.

— Widzisz, Marezku, masz kulę ziemską na swoim talerzu. Zapewne do tej pory już ostygła, zjedzże ją teraz, potem powtórzysz mi wszystko, co wam opowiadałem.

A. R.

## B A Ś Ń

O KRÓLEWICZU HOŁUBKU,

ROZSIANEM ZIARNIE I DOBROTLIWYM PASTERZU.

p. Z. Morawską.

(Dokończenie).

A król wicz Hołubek wiedział co robił; obudziły go promyki słońka z długiej choroby i bezczynności. Powstał więc i szedł do stóp Tego, który umie wszystkie cierpienia ukoić. Promyki słońka go wiodły i ogrzewały, boć one były również posłane przez Tego, który wszystkich od największego moczarsza aż do najmniejszego robaczką utrzymuje przy życiu.

I ujrzał król wicz pasterza, który biedną i wychulzoną trzodkę na młodocianej runi pilnował.

I widział jak koło owej trzodki jagniąt chodził, one zwracały się ku Niemu i ludzkim przemawiały głosem:

— Chroń nas o Panie bośmy zbiedzone, a nie umiemy pracować.

Więc król wicz Hołubek poszedł za przykładem tych jagniątek i padłszy do stóp Pasterza, wołał:

— Chroń mnie, bom zbiedzony a pracy mnie nie uczono.

A Pasterz wejrzał litościwym wzrokiem na leżącego,

a widząc go bardzo nędznym wziął w ramiona jako matka swe dzieci i okrył skórą jagnięcia.

A tak jako przybiegła piastunka, nie poznała swego Hołubka, tak i on sam siebie nie poznawał.

Serce jego twarde i nieprzystępne robiło się tklivem na nędzę ludzką; wspomniawszy sobie, ile dni bezczynnie przepędził i jak ta bezczynność i próżniactwo wpędziły go w ciężką chorobę!

A gdy Pasterz utulił i ogrzał chorego, kazał mu razem z sobą pracować i chore i biedne dzieci wyszukiwać i przyprowadzać ku sobie.

Królewicz Hołubek słuchał Pasterza i pracował, a też słuchał Jego mądrej nauki, którą ów Pasterz wygłaszał w tych słowach:

— Żaden człowiek w bezczynności zostawać nie powinien, boć ona jest matką choroby i nędzy.

A im dłużej król wicz Hołubek przebywał w towarzystwie Pasterza, tem więcej wzrastał w zdrowie i siły, tem więcej umysł jego stawał się oświeconym a serce tklivsze na łzy i niedolę bliźniego.

A jednego dnia Pasterz rzekł do król wicza:

— Wracaj już teraz do swego królestwa, zwołaj poddanych a każdemu wydziel po miarce zboża.

Królewicz skłonił głowę, lecz w pierwszej chwili pomyślał:

— A zkadże im zboża wydzielę, kiedyć oddawna w moim królestwie nikt go nie zasiał!

Ale Pasterz przeczuł myśli król wicza i rzekł:

— Nie wąp i czyn, com ci powiedział.

Tak tedy król wicz chciał upaść do nóg Pasterzowi i podziękować za zdrowie i siły, które odzyskał. Spójrzy, aż tu nikogo przed nim niema, tylko obłok świetlany unosi się ku górze.

Wtedy król wicz poznał, że ów Pasterz, nie był pasterzem jakich się codzien widzi, lecz samym Jezusem Chrystusem.

Podniósł więc ręce ku niebu i wołał:

— O Panie, daj mi wiarę głęboką i pozwól abym nauki Twoje dobrze czyniąc, wypełniał.

I powrócił Hołubek do swego królestwa, i rozdał każdemu, co się do niego zgłosił, miarę zboża, które wyrosło z ziarna, wysianego w chwili gdy król wicz Hołubek rozbudzony promykiem słońka, biegł szukać zdrowia i siły.

A stara piastunka, szambelanowie i ochmistrze, mędrcom i doktorzy, kiwali głowami, dziwiąc się zdrowiu i mądrości król wicza.

A król wicz mówił:

— Wielka jest mądrość i łaska Pana nad Pany; uwielbiamy Go pieśnią i pracą!

A gdy następnej wiosny słońko z za chmur wyjrzało i złocistymi promieniami ozłociło pola, łąki, lasy i przejrzało się w potoku wód szumiących, na pustych niegdyś polach roilo się od pracujących ludzi.

Siewcy szli z płachtami zboża, a przodował im król wicz Hołubek, który odtąd na wiosnę zawsze sam pierwszą garść zboża rozsiewał. I wszystko szło dobrze w państwie król wicza Hołubka, nie było pól nieuprawnych, a głód, mór i nędza znikły bez śladu.

### SZARADA. ułożyła Poziomka.

Pierwsza bywa milczenia nakazem,  
Druga i trzecia złączone razem,  
Kiedy dobra, pożyteczna,  
A nawet czasem konieczna.  
Cała sprytnym główkom miła,  
Chociaż często dość zawila.

### LAMIGŁÓWKA W KWADRACIE. ułożył Kielczanin.

1 . . . . .  
2 . . . . .  
3 . . . . .  
4 . . . . .  
5 . . . . .  
6 . . . . .  
7 . . . . .  
8 . . . . .

W kwadracie z 8-miu przedziałek ułożyć wyrazy, aby litery oznaczone liczbami złożyły imię cesarza Francyi.

- 1) Miasto w Bulgaryi. 2) Nazwa części Włoch. 3) Gromada roślin skrytokwiatowych. 4) Wulkan w Ameryce. 5) Stan w północnej Ameryce. 6) Miasto w Saksonii. 7) Bohater powieści Daniela Defoe. 8) Księstwo w północnych Niemczech.
- Sylaby: Ni—pa—co—ka—frej—ro—hol—ko—pro—to—ro—berg—bin—sztyń—po—bria—li—cie—pa—li—xi—na—son.

### ZADANIE KONIKOWE. ułożyła Salamandra.



### ROZWIĄZANIE DO N-ru 18-go

Szarady: O — wo — ce.

### Rebusiku:

Zamek na Wawelu w Krakowie.

### Skrzynka do listów.

Felicyi S. przesłaliśmy początek powieści; drugiemu żądaniu jednak nie jesteśmy w możności zadość uczynić, wybór bowiem padł na książkę nie znajdującą się w naszym zbiorze.

Łyżwiarce, Srocze i Stefcy W. dziękujemy za przysłane na kolonie letnie własnoręcznie uszyte ubranka; lubo sądzimy, że zadowolenie z dobrego uczynku, jest najmilszą za ich pracę nagrodą.

Rozwiązania lamigłówek nadesłali: Regina S., Niezapominajka z n. Sanu, Gustaw J. i Juljusz W. Zagadki swego utworu Orzeł tatrzański, Stanisława W. Juljan W.

Mile mi oświadczenie przyjaźni Orła tatrzańskiego, owego króla ptaków, odznaczającego się wspaniałością i siłą. Niechże i tobie młody przyjacielu, coś sobie tego ptaka za godło obrał, rozwijają się skrzydła do wzniesłego lotu, iżbyś umiał się podnieść nad samolubne chęci i drobne zawiści, a dążył zawsze do spełnienia szlachetnych celów życia.

Nie dziwię się Wiselko, że pożądaną nagrodę za staranną pracę stanowią dla ciebie uścisk twego tatusia, jak z jednej bowiem strony zadowolenie rodziców jest dla dzieci źródłem najszczerzej radości, tak z drugiej dobre postępowanie dzieci przynosi sercu rodzicielskiemu najsłodsza pociecha.

Pytasz Jutrzenko w jaki sposób dziewczynka jedenastoletnia może stać się pomocą dla rodziców. Różne są usługi wedle różnych okoliczności położenia rodzicielskiego, dobra jednak i kochająca córka zawsze i wszędzie ojcu i matce pomoc nieść może. Niech będzie powolną każdemu ich rozkazowi, niech im oszczędza przykrości i zawodów, niech postępowaniem dowiedzie, że z ich nauk korzyść odnosi, przestrogi ich w sercu chowa, niech wszystkie obowiązki swoje spełnia sumiennie, a Bóg i rodzice błogosławić ją będą.

Ładny pseudonym obrałeś sobie młody Dębczaku, bądźże tak wytrwałym, silnym, nieugiętym na burze losu jak drzewo, które sobie wzięłeś za godło, a wyrośniesz na dzielnego człowieka, umiającego w każdej potrzebie sobie zaradzić i drugim skuteczną, nieść pomoc. Nauki pójdą ci łatwo, skoro z taką ochotą do nich się zabierasz.

Dziękuję ci Perelko z Łodzi za obietnice ciekawych szczegółów z podróży twojej po Szwajcaryi. Zajmuje mnie wszystko co się na Bożym świecie dzieje, ale, że należę do gatunku ptaków mających największe upodobanie we własnym gniazdku i zawsze z wiosną wracających do niego radośnie, więc też obok wiadomości o dalekich krajach, posłuchałabym chętnie szczegółów o twem rodzinnem mieście.

Nie trudne bywa zazwyczaj zbliżenie małej Mrówki i małego ptaszka, kilka więc słów twoich starczy do wzajemnego zapoznania się. Wyobrażam sobie, że jesteś staranną i pilną dziewczynką, skoro po roku nauki tak kształtnie umiesz stawiać literki, mam też nadzieję, że kaligrafię twoją Redakcja pochlebnie wyróżni.

Radabyś wiedzieć Figusiu jak spędziłam święta Wielkanocne? Najpierw, jak wypada każdej żyjącej na tym świecie istotcie, myśl moją z wdzięcznością zwróciłam do Stwórcy, który najmniejszym robaczkiem, najdrobniejszą ptaszyną opiekować się nie przestaje. Zastanawiałam się następnie o ile głębszą i gorętszą być musi ta wdzięczność względem Boga w sercach ludzi obdarowanych rozumem będących w stanie lepiej ocenić dary Opatrzności. W końcu zaś dnie te świąteczne zeszyły wesoło w gronie rodzinnem waszej

Jaskółce.

